

— Czy i na dom pani Clemmens?
— Naturalnie. W ten sposób moglibyśmy zrozumieć...

— Cóż takiego?! — zawołał z niedowierzaniem Hickory.

Byrd potrząsnął głową i nie odpowiedział. Odłożył na chwilę ołówek i rzekł, wskazując na punkt, oznaczający szopę węglarzy:

— Tędy więc wchodzi pan do lasu — prawda?

Hickory spojrzał ze zdziwieniem na Byrda i odpowiedział, lekko rozdrażniony:

— Idę ścieżką, biegnącą poziomo do tej, którą wszedłem do lasu, ale jestem zmuszony iść wolniej, bo droga jest ciężka, kamienista i śliska. Przybywam do miejsca otwartego, zarośniętego gęstymi trawami i kolcami! Do dyabła! Otóż nie wiem, co dalej robię ze sobą!

— Dlaczego?

— Nie przypominam sobie kierunku, jaki ścieżka odtąd przybiera. Jest bowiem całkiem zakryta i niewidzialna.

— Pomogę panu.

— Zna ją pan lepiej odemnie?

— Widocznie. Ścieżka w tym miejscu zakreśla półkole na lewo i powraca do lasu, przebiegając pod wielkim dębem, który służyć może panu jako punkt orientacji. Nie może się pan w ten sposób pomylić i zboczyć z drogi.

— Doskonale! Ale będę musiał zużyć wiele czasu na przejście przez tę przestrzeń, zarośniętą lianami i kolcami, które powstrzymywały mnie będą w biegu.

— To trudno. A później?

— Dopadam do drogi leśnej, która w prostej linii biegnie do rzeki. Niech pan zaznaczy punktami drogę i rzekę.

— Już zrobione.

— Tutaj gubię się już zupełnie.

— Doprawdy?

— Wiem tylko, że na tamtym brzegu widać główną drogę, prowadzącą do dworca. Ale, jak do niej się dostać, oto pytanie!

— Zaraz to panu wyjaśnię! — rzekł Byrd, notując szybko położenie rzeki i głównej drogi. — Na nieszczęście nie można nawet marzyć o przejściu w prostym kierunku. Niema wcale łódki przy brzegu rzeki, którąby się przepłynąć można. Trzeba iść w górę aż do mostu.

— Więc jest i most?

— Jest. Tu właśnie niech pan uważa. Tylko niech pan nie zamyśla szukać krótszego przejścia, bo go niema wcale. Gąszcz po tej stronie są tak trudne do przebycia, że mógłby pan w nich zabłądzić, a w każdym razie stracić wiele czasu. Ale, jak tylko przejdzie pan most...

— To będę mógł galopować do woli — zaśmiał się Hickory, patrząc krytycznie na rysunek, który Byrd wykończył.

— Nic już panu tam nie stanie na przeszkodzie, może pan być spokojny.

— Ale, wie pan co? Nie mogę jakoś uwierzyć, aby Morgan wybrał tak długą drogę do swojej ucieczki. Twierdzi pan stanowczo, że niema krótszego przejścia?

— Jestem tego pewny. Niech pan sobie zresztą przypomni nacisk, położony przez pana Ormond na zeznanie naczelnika stacji. Mówił on, że oskarżony, przybywając do Monteith, był zmęczony i wyczerpany, jak człowiek, który odbył dalszą drogę, ale nie zauważył, żeby jego ubranie było podarte i splamione błotem. Na razie nie zwróciłem na nacisk ten zbytnej uwagi, lecz teraz rozumiem, że obrońca chciał przez to wykazać, że Morgan wybrał tę drogę, którąśmy teraz przestudyowaliśmy, gdyż w innym wypadku musiałby przepływać się przez bagniska, gdzie byłby się musiał koniecznie zabłocić, lub przez gąszcze, gdzie znowu podarłby bezsprzecznie ubranie.

— To słuszne rozumowanie! — przytaknął Hickory — No! Zresztą zobaczymy, czy jutro, przy dobrej woli i mocnych nogach, nie potrafimy obalić twierdzenia pana Ormond!

Świadkowie.

Rozprawa dnia następnego poświęcona była rozpatrywaniu pewnych zeznań, zebranych jeszcze podczas wstępnego badania koronera, na które oskarżenie niełożyło szczególniejszego nacisku. Chodziło mianowicie o skonstatowanie dokładne, o jakiej porze pani Clemmens zamordowana została.

Przeciwnie zaś, dla obrony punkt ten był nadzwyczaj ważny i dlatego na rozprawie pojawili się pierwsi świadkowie sprawy wraz z Gordonem Hildrethem.

Wejście tego ostatniego na salę uczyniło przygnębiające wrażenie. Gordon Hildreth dziwnie się

zmienił i postarzał od dnia swojego uwięzienia i usiłowanego samobójstwa. Cerę twarzy miał ziemistą, oczy głęboko zapadnięte, szyję owiniętą dużym, ciemnym fularem. Należy dodać, iż w ogólnym współczuciu, wywołanem jego widokiem, mieściła się również jakaś nieokreślona niechęć i antypatya, wywołana zachowaniem się jego, raz aroganckiem i zuchwałem, to znowu lęklivem i niespokojnem.

Mimowoli zebrana publiczność musiała czynić porównanie pomiędzy nim, a Cyrylem Morgan, które wypaść z konieczności musiały na korzyść tego ostatniego.

— W tem zestawieniu obydwóch oskarżonych — pomyślał Byrd — widzę mistrzowską rękę pana Ormond. Pomyśl jego jest doskonały. Gdyby teraz Hildreth znajdował się na miejscu Morgana, nie przeczyłbym za jego głowę.

Pan Ferris, ujrawszy tych dwóch ludzi, siedzących blisko siebie na ławie oskarżonych, doznał podobnego wrażenia, jak Byrd.

Pochylił głowę i zmarszczył czoło: zdawało się, że jakieś zwątpienie ogarnęło go nagle. W pewnej chwili rzucił w stronę miss Darnell spojrzenie, pełne wyrzutu i ironii, zdające się mówić:

— Oto człowiek, dla którego, nie znając go nawet, poświęciła pani najdroższe swoje uczucia!

Wszyscy zauważyć musieli, że Gordon Hildreth z przymusem i widoczną złą wolą odpowiadał na zapytania adwokata, pragnącego się dowiedzieć, jak przepędził ranek w dniu 28. listopada. Rezultatem tego badania było skonstatowanie, iż Hildreth na dziesięć lub dwanaście minut przed dwunastą opuścił Biały Domek, po widzeniu się z panią Clemmens.

Naczelnik stacji w Monteith zeznał już poprzednio, że oskarżony wsiadł na pociąg, odchodzący o godzinie pierwszej minut ośmnaście. Pan Ormond kazał raz jeszcze zaważać świadka, aby się przekonał, że dnia tego pociąg odjechał bez opóźnienia.

Kiedy fakt ten dowiedzionym został, inni świadkowie zostali zaważani dla oznaczenia drogi, prowadzącej do Monteith przez lasy. Pan Ormond zatem kazał sporządzić kilka dokładnych planów i rozdał je pomiędzy sędziów przysięgłych. Nareszcie wywołano nazwisko jednego z najsławniejszych biegaczy z Nowego Jorku, który już niejednokrotnie odbierał pierwsze nagrody na wyścigach w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

Byrd zaczął się już niecierpliwić, nie widząc na sali Hickory'ego. Lękał się, aby jaki wypadek nie przeszkodził mu w wykonaniu podjętego zadania.

Co chwila niespokojnie zwracał oczy w stronę drzwi, kierując je następnie na twarz obrońcy. Zauważył, że pan Ormond również często spoglądał ku drzwiom.

— Zdaje się, że i on oczekuje kogoś. — myślał Byrd, podczas kiedy zaważany biegacz zdawał sprawę ze swojej misji.

Pierwszy raz odbyłem drogę w stu dwudziestu minutach — rzekł z powagą — drugi raz w stu piętnastu. Poznaawszy lepiej teren, zaoszczędziłem pięć minut, oszczędzając sił w przejściach trudniejszych. Natomiast trzecia próba zabrała mi dwie minuty więcej, bo droga leśna była wówczas w bardzo złym stanie po deszczu, który spadł w nocy. Uznaję więc, że, chcąc się dostać przez lasy z Białego Domku do stacji w Monteith, trzeba zużyć przy intensywnym biegu najmniej sto piętnaście minut czasu.

Szmer zadowolenia przyjął wywody biegacza. Wskazywały one jasno niewinność oskarżonego.

Jednakże sąd nie zdawał się być jeszcze przekonany.

— W tych trzech wypadkach, o których pan mówi — odezwał się prokurator — odbył pan tę drogę pieszo?

— Tak.

— Czy nie mógł pan inaczej uczynić?

— Nie, panie prokuratorze, przynajmniej nie przed przejściem mostu i dostaniem się na główną drogę.

— Jak długo biegł pan od tego miejsca?

— Pięć minut najwyżej.

— A gdyby pan był miał konia?

— Gdybym był miał dobrego konia, któryby tam już czekał na mnie, zyskałbym może trzy minuty.

Drugi biegacz potwierdził w zupełności zdanie kolegi. Najlepszy bieg jego wynosił sto dziewiętnaście minut. W chwili, kiedy kończył swoje zeznanie, wszedł do sali Hickory.

Byrd, którego niecierpliwość wzmagala się coraz więcej, miał właśnie spojrzenie utkwione w stronę drzwi. Pan Ormond również patrzył w tym kierunku, ale ani detektyw, ani Hickory tego nie spostrzegli. Inaczej Hickory nie byłby potrząsnął głową,

chcąc tym sposobem wskazać Byrdowi, że wyprawa jego nie odniosła pożądanego skutku.

— To było wprost niemożliwe! — szepnął, siadając obok niego — Będąc przygotowany co chwila na skrócenie karku, bo biegłem tak, jak gdyby mnie sam dyabeł gonił, potrzebowałem sto ośm minut do odbycia tej piekielnej drogi.

— To w każdym razie siedm minut mniej, niż zawodowi biegacze — odparł Byrd z zadowoleniem.

— Doprawdy? Na honor, cieszę się, że pobiłem takich ekspertów. Ale coż to wszystko znaczy? Nie siedm, ale dwadzieścia pięć trzeba było zyskać, aby wykazać to, cośmy chcieli, a o tem nawet marzyć nie można, chyba bym się w ptaka zamienił.

— To trudno! — szepnął smutnie Byrd, myśląc, że teraz miss Darnell nie będzie się mogła usunąć przed nowem badaniem.

Jednakże wielka niespodzianka oczekiwała obydwóch detektywów.

Adwokat Ormond skinął nagle na woźnego, stojącego opodal i szepnął mu słów kilka i zaraz rozległo się donośne wołanie:

— Pan Frank Hickory!

— Cóż u dyabła oni mogą chcieć odemnie? — zawołał detektyw z komicznym zdumieniem.

Dowiedział się o tem wkrótce.

— Czy nie zechciałby pan, panie Hickory — zapytał grzecznie obrońca — objaśnić nas wszystkich, skąd pan teraz przybywa?

— Z hotelu — odparł beczelnie detektyw, mrużąc znacząco na Byrda.

— Z hotelu? — powtórzył pan Ormond — Panie Hickory, pan doskonale rozumie, o co mi chodzi. Co pan robił dziś rano po wyjściu z Białego Domku?

— Co robiłem?... Rozprostowałem sobie trochę nogi na wzór tych panów! — rzekł Hickory, kłaniając się ironicznie w stronę ekspertów.

— W jakim celu?

— Byłem tak zarozumiały, że chciałem dorównać ich zwinności... a może...

— A może co, panie Hickory?

— A może nawet obalić cały system obrony!

— Doprawdy? Ciekawy jestem, w jaki sposób? Czy może pan chciał nas przekonać, że można w przeciągu ośmdziesięciu ośmu minut odbyć drogę z Białego Domku do stacji w Monteith?

— To była moja myśl.

— Na czem pan opierał nadzieję pobicia tych dwóch panów, rutynowanych w swoim zawodzie?

— Zdaje się, że nie grzeszę zbytkiem skromności — odparł flagmatycznie Hickory, ku wielkiemu zadowoleniu całej sali.

— Proszę nie żartować, miejsce nie nadaje się do tego! — zauważył surowo adwokat — Zapytuję pana, czy był pan wdrożony do szybkiego biegu?

— Zdarzyło mi się to raz, czy dwa w życiu. Stłumiony śmiech rozległ się po sali.

— Proszę o spokój! — zawołał donośnie woźny.

— Panie Hickory! — podjął znowu pan Ormond — Proszę, niech pan mówi trochę poważniej. Tak, czy nie! Czy się ma pan za dobrego biegacza, mogącego ocenić z własnych, odniesionych rezultatów — czy możliwem jest, aby w ośmdziesięciu ośmiu minutach odbyć wiadomą drogę?

— Byłem na tyle zuchwały, że sądziłem, iż potrafię tego dokonać, ale zawiodłem się trochę.

— Zanim nas powiadomi pan o rezultacie swojej próby, zechce może wyjawić sądowi, jaką pan obrał drogę?

— Tę, którą prawdopodobnie biegł oskarżony.

— A więc?

— Ścieżkę w lesie, następnie drogę leśną, most, szosę. Nie znałem innej drogi.

— Ale tę znał pan, jak widzę?

— Przebiegałem już nią aż do rzeki.

— W takim razie nie potrzebował się pan nigdzie zatrzymywać dla nabrania orientacji?

— Nie.

— Co pan uczynił, znalazłszy się nad rzeką?

— Szedłem wzdłuż brzegu, aż do mostu, który przebiegał biegnąc.

— Czy ten szybki bieg zachował pan również, kiedy dostał się pan na główną drogę?

— Och, nie! Byłem już zmęczony.

— Czy można pana zapytać, panie Hickory, jaki krok pan przybiera, kiedy się pan czuje zmęczonym?

— To zależy. Tym razem miałem szczęście natknąć dobrego konia.

— Konia?

— Tak, panie adwokacie. Wskoczyłem do wózka, który jechał dosyć szybko.

(Ciąg dalszy nastąpi).